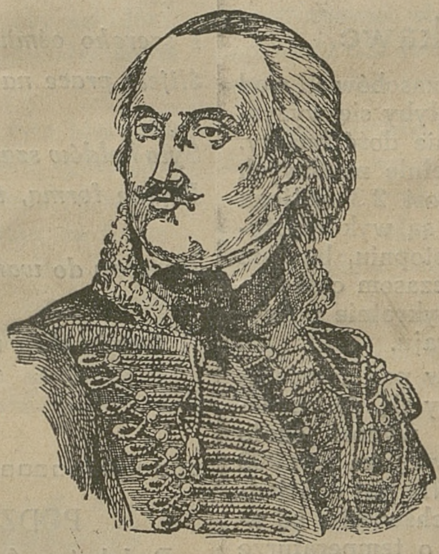
Cena 35 groszy.

ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK.

wydawany staraniem Samopomocy Męskich Szkół Średnich w Częstochowie

Rok IV. Częstochowa w listopadzie 1929 r. Nr. 1 (19)



KAZIMIERZ PUŁASKI
Wielki bojownik idei wolności.

APEL!

Redakcja „Świata Szkolnego" zwraca się z gorącą prośbą do kolegów o jak najliczniejsze nadsyłanie prac do pisemka. Jeżeli ono ma być naprawdę naszem, niechże naszemi myślami i pracą będzie wypełnione.

W numerze tym nie można jeszcze było otworzyć działu bibljograficznego ze względów technicznych. Zostanie to uczynione w następnych numerach pisemka, jak zwykle na drugiej stronie okładki.

Rzeczy ciekawe.

Jak wynika z obliczeń zasobów sił wodnych w Polsce, które dałyby się wyzyskać, kraj nasz jest w nie dość bogaty. Ogólna wartość sił zupełnie możliwych do eksploatowania wynosi 2,3 miljona koni. Siły te jak dotąd są wykorzystywane w nader nikłym stopniu, bowiem tylko w 0,25% gdy tymczasem całkowite ich wykorzystanie trzykrotnie pokryłoby zapotrzebowanie kraju.

Z obliczeń astronomów nad temperaturą gwiazd dowiadujemy się, że temperatura wnętrza słońca wynosi około 70.000.000°, gęstość zaś wnętrza jest 300 razy większa od wody. Nie jest ona jednak największą w wszechświecie, bo astronomja zna gwiazdy o temperaturze około 500.000.000° i gęstości 55.000. Prawdopodobnie we wnętrzu tych gwiazd atomy są zupełnie pozbawione elektronów.

Wezwanie!

Po śnie letnim do pracy wezwała
nas szkoła
Wraz się żywot pisemka rozpoczyna
nowy
I szeroko ośmiuset numerami woła:
Ślijcie prace na „Świata" „Konkurs
szaradowy".
Syta hołdów szarada niech nowy odbierze
Piękne formą, tematem żywo
przysyłajcie
Nagroda do wartości w równej będzie
mierze,
A termin dwa tygodnie, więcej
nie żądajcie.

G.

PODZIĘKOWANIE

Redakcja „Świta Szkolnego" składa tą drogą podziękowanie za pracę w ubiegłym roku szkolnym b. redaktorowi kol. Zdzisławowi Fiuczkowi.

ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK

wydawany staraniem Samopomocy Męskich Szkół Średnich w Częstochowie

Rok IV. Częstochowa w listopadzie 1929 r. Nr. 1 (19)

CZWARTY ROK.

Czwarty już raz rozpoczynamy wspólną pracę w pisemku. Trzy lata wychodził „Świat Szkolny" i teraz ponownem ukazaniem się zaprzecza urobionej opinji o rzekomej swej sezonowości.

Pisemko nasze musi istnieć i rozwijać się. Nie możemy dopuścić do zmarnowania trzyletniej już pracy. Pisemko nie może być li - tylko rzadkiem wydawnictwem obojętnem młodzieży szkolnej. Musi natomiast stać się nieodzownym czynnikiem w jej życiu.

Że „Świat Szkolny" w tym kierunku zdąża, to świadczy o tem 800 egzemplarzy każdego numeru zupełnie rozsprzedawanych. Należy stwierdzić, że to nasze pisemko ma już bardzo duży kredyt moralny wśród młodzieży. Rozbudować go jednak dalej, zapewnić tem samem byt dalszy „Światu Szkolnemu" będzie zadaniem tegorocznem Redakcji. Podejmujemy się tej pracy będąc jednocześnie głęboko przekonanymi, że o ile tylko na terenach szkół spotkamy się z współpracą, to wszelkie przeszkody powoli przełamiemy i pisemko będzie miało istnienie i rozwój zapewniony.

Oczywiście starając się aby wartość obecna „Świata Szkolnego" nie zmieniła się na gorsze, przedewszystkiem jesteśmy zmuszeni położyć główny nacisk na jego podstawy organizacyjne i finansowe.

W samej zawartości pisemka szczególnie podkreślanym będzie dział życia społecznego. Za mało bowiem w dotychczasowej treści było tego elementu, który zawsze interesuje młodzież, a za dużo wypracowań suchych, książkowych.

Cały zaś szereg innych działów, które znamy z poprzednich lat wydawania pisemka, zostanie wzbogaconym o jeszcze jeden mianowicie „Kącik najmłodszych". Najmłodsi autorowie nasi z nim będą współpracowali aby „Świat Szkolny" był naprawdę odzwierciadleniem życia szkolnego nietylko samej starszej młodzieży.

Jednocześnie w myśl haseł pisemka Redakcja będzie starała się aby do współpracy w pisemku wciągnąć nie tylko szkoły - udziałowców, ale wszystkie inne uczelnie częstochowskie.

Trudne warunki obecne nie dopuściły do wydania pierwszego numeru na czas. Równorzędnie ów numer nie mógł być utrzymanym na takim bogatym poziomie jak numery zeszłoroczne. To zubożenie szaty zewnętrznej pisemka jest jednak tylko chwilowym brakiem, który Redakcja będzie się starała usunąć już w następnym numerze.

Z tym więc numerem „Świata Szkolnego" rozpoczynamy dalszą pracę i zapraszając całą młodzież szkolną do współdziałania, żywimy niepłonną nadzieję świetnego rozwoju naszego organu prasowego

Redakcja.

KAZIMIERZ PUŁASKI.

(W stopięćdziesiątą rocznicę zgonu)

Drugi z trzech synów Józefa Pułaskiego, Kazimierz, urodził się 4 marca 1747 r. w Winiarach pod Warszawą. W młodym już wieku zaprawiał się w zawodzie rycerskim, w którym zabłysnął niebawem. Polska w tym czasie była pogrążona w anarchji i bezsilnie znosiła brutalne rządy Katarzyny II. Jedynie śmiały plan działania mógł jeszcze wyratować kraj. Pułascy, ojciec i synowie przysięgli na szablę swego przodka. że bronić będą Ojczyzny i namawiali szlachtę do zbrojnego związku. Jako centrum działań wojennych obrano Bar, a konfederację, którą tam szlachta zawiązała 29 lutego 1768 r. nazwano barską. O zawiązaniu konfederacji dowiedziano się w Warszawie 5 marca tegoż roku. Król był zdziwiony, a Repnin, jako ambasador rosyjski, nie posiadał się z oburzenia. Namówił on króla do wystąpienia przeciw konfederatom i odtąd wojska królewskie działają wspólnie z rosyjskiemi. Kaz. Pułaski stoczył pierwszą ze swych bitew 29 marca 1768 r. Bojąc się jednak osaczenia, udaje się Pułaski ze swoim oddziałem w stronę Berdyczowa i tam zajmuje forteczkę. Kiedy jednak zwiększone siły Moskali obległy miasto, musiano kapitulować. Pułaski z 200 ludzi wymówił sobie wyjście z bronią, podczas gdy reszta załogi poddała się. Rosjanie złamali jednak umowę, biorąc do niewoli Pułaskiego. Wypuszczono go dopiero wtedy, gdy podpisał zobowiązanie, iż odstępuje od konfederacji. Zorganizowawszy na nowo swój oddział udaje się Pułaski na Podole, gdzie zadaje Rosjanom większe i mniejsze klęski, walcząc z kilkakroć liczniejszym wrogiem. Przerzuca się teraz na Litwę i bije Moskali w morderczych bitwach pod Nowogródkiem, Słonimem i Brześciem. Popularność Pułaskiego zwróciła uwagę Moskali. Pod Orzechowem zjednoczone ich siły zadały klęskę Pułaskiemu. Teraz otrzymuje on rozkaz z komendy konfederackiej zajęcia Częstochowy, jako miejsca obronnego. Podstępnie zajmuje klasztor, gdyż OO. Paulini nikogo nie chcieli wpuścić, chcąc zachować nieutralność. W końcu grudnia przybyli pod Częstochowę Rosjanie, pod dowództwem Drewicza, znanego okrutnika. Po dwutygodniowym jednak oblężeniu podczas którego załoga dokonywała cudów waleczności, opuścili Moskale fortecę dnia 15 stycznia 1769 r. Wówczas konfederaci postanowili porwać króla i dla swej pozyskać sprawy. Zamach się nie udał. Pułaski, jako moralny sprawca zamachu, skazany został na utratę czci i życia. Uchodzi przeto z kraju ten Pionier idei Wolności i znajduje przytułek na ziemi amerykańskiej. Amerykanie, również jak i Polacy walczyli o wolność. Kierownikiem powstania był Waszyngton. Do niego zgłosił się Pułaski i pod jego walczył rozkazami z początku jako prosty żołnierz. Wkrótce odznaczył się dzielnością i znajomością sztuki wojennej, za co mianowany został dowódcą kawalerji w randze generała. brygady. Złożył jednak wkrótce dowództwo nad kawalerją amerykańską, a dobrawszy sobie ludzi, stworzył natomiast własny oddział, złożony przeważnie z Polaków i począł napadać na Anglików. Wielokrotnie ocalił wojska amerykańskie od zagłady sam nie szczędząc życia. W Valley Sorge wdzięczni mieszkańcy za uratowanie ich od zguby, ofiarowali Pułaskiemu sztandar z napisem z jednej strony „Non alius zegit" (nikt prócz ciebie nie rządzi) z drugiej litery U. S. i napis „Unita virtus fortior" (zjednoczone męstwo silniejsze). Pułaski walczył zawsze z nadzieją, że Polskę ujrzy jeszcze, lecz niestety nie sądzone mu było. W czasie oblężenia miasta Savannah, kiedy z podniesioną szablą, atakował, wołając: „Naprzód bracia, naprzód" ugodzony kartaczem spadł z konia. Rannego zabrano na okręt „Wasp" celem zawiezienia do Charlestown. W drodze jednak umarł, a ciało bohatera pochłonęły bulgocące wody Oceanu 11 październik 1779 r. Wdzięczni Amerykanie wy-

stawili mu pomnik, wykonany przez polskiego rzeźbiarza Chodzyńskiego, a imię bohatera przypomina dzisiaj Amerykanom zmartwychwstałą Polskę i Polaków.

A. W. G.P.T.

HOŁD KAZIMIERZOWI PUŁASKIEMU

Dziś, by hołd oddać prochom bohatera,
Co poległ w walce za ideę świętą,
Po całej Polsce dziś się młodzież zbiera,
By uczcić sławę jego niepojętą!

On syn wolności, co z krwi polskiej powstał,
By zgnieść przeklęte moskiewskie kajdany,
W obczyźnie poległ, w obczyźnie pozostał,
Przez obcych czczony, przez nich pochowany!

Tak, jak wzburzone oceanu tonie,
Ciało rycerza ukryły w swym grobie,
Tak nasze serca, dziś po jego zgonie
Powinny obraz jego ukryć w sobie!

A pamięć jego — to ducha potęga,
Co wzmacnia skrzydła do lotu wolności!
A życie jego — to świetlana księga;
Cnót — bohaterstwa, Ojczyzny — miłości!

Już się spełniły rycerza nadzieje,
Za które walczyć poszedł w obce kraje;
Zorza wolności nad Polską jaśnieje!
Dziś wolna Polska — hołdy mu oddaje!

K. Masłowska.

„Nauka i Praca".

FRYDERYK CHOPIN

(z okazji osiemdziesiątej rocznicy Jego śmierci).

W Paryżu, dnia 17 października 1849 roku umarł jeden z największych Polaków. Był nim Fryderyk Franciszek Chopin. Toczące się spory o datę jego urodzin i wątpliwość polskiego pochodzenia bezapelacyjnie rozstrzygnął Hoesick w swej biografji o Chopinie. I tak, Chopin urodził się 22 lutego 1810 roku w Żelazowej Woli, pod Sochaczewem. Ojcem jego był Francuz, guwerner u hr. Skarbkowej, matką — szlachcianka polska Justyna z Krzyżanowskich. Z natury wątły, skłony do gruźlicy i nadzwyczaj przeczulony cierpiał po upadku powstania listopadowego do tego stopnia, że słaby organizm nie wytrzymał naporu potężnego uczucia żalu prawego syna po stracie swej Matki - Ojczyzny, nie wytrzymał naporu chronicznej choroby, jaką były suchoty i załamał się przedwcześnie. Już w zaraniu swego pacholęcego wieku Chopin ujawnił zamiłowanie do muzyki w takim stopniu, że nie mógł jej słuchać bez płaczu, a że rodzice nie stawiali mu przeszkód na drodze do rozwijania się w tym kierunku, lecz przeciwnie z całych sił pomagali mu, mógł już w śiódmym roku życia młody Fryderyk publicznie koncertować, zaś w rok później był osobistością powszechnie znaną w warszawskich salonach i prasie. W tym samym czasie dyktuje swemu nauczycielowi Żywnemu własne kompozycje, bo ich jeszcze sam napisać nie potrafił. Ta przedwczesna dojrzałość duchowa znamionuje tylko Mozarta, Schuberta i naszego wielkiego Rodaka. Dalsze studja odbywał pod fachowem kierownictwem ówczesnego dyrektora warszawskiego konserwatorjum muzycznego Józefa Ksaw. Elsnera, który nie krępował artystycznych polotów Chopinowskiego ducha, jak to czynił Rungenhagen względem Moniuszki, lecz nawet nakłaniał go do próbowania swych sił w coraz to innych kierunkach. Świadomość jednak swych zdolności nie pozwalała Chopinowi na marnowanie talentu w dziedzinach, w których mu muza nie dopisywała i tak namowy, by Chopin stworzył narodową operę polską spełzły na niczem. W jego utworach bądź kameralnych, bądź na fortepian z orkiestrą, wszystko co nie jest jego ulubionym instrumentem przechodzi na plan dalszy. Chopin nie posiada daru wykorzystania barw muzycznych, jakie dają instrumenty smyczkowe, drewniane, blaszane i inne, więc ogranicza się tylko do fortepianu, gdzie stworzył, lub wystylizował kilka form muzycznych. Chopin wbrew swej niewszech-

stronności godnie dzierży miejsce obok takich tytanów, jakimi byli Bach, Beethoven i Mozart. W swej dziedzinie takim był skończonym i oryginalnym mistrzem, że pomimo tego, iż istnieje pewna łączność w jego utworach z przeszłością, wnosi on tyle subjektywnej inwencji swojej do muzyki, jak nikt inny. Naśladowanie Chopina jest wprost niepodobieństwa. Jak mówi nasz muzykolog Dr. J. Reiss, Chopin swoim genjuszem tworzy sam jeden nowy styl i nową epokę. Jego rewelacyjne innowacje posłużyły całemu szeregowi późniejszych muzyków do stworzenia oddzielnych kierunków w muzyce.

Tak np. Gluck chciał dać w operze syntezę poezji i muzyki, ale udało się to dopiero Wagnerowi, gdy ten oparł się na Beethovenie i zdobyczach Chopinowskich w dziedzinie harmonji i wyrafinowanej rytmice Genjusza. Dopiero Chopin nauczył świat nucić pieśń, jakiej ucho ludzkie nie słyszało, on nauczył czarowną mową dźwięków tłumaczyć naszych „myśli przędzę" i naszych „uczuć kwiaty", on dał prawo obywatelskie polskiej muzyce. Jednym z pierwszych, który zwrócił uwagę na talent Chopina był Schumann. I Schumann wypowiedział o muzyce naszego Rodaka te pamiętne słowa: „Gdyby potężny samowładca północy (car) wiedział, jaki niebezpieczny nieprzyjaciel grozi mu z muzyki, bo dzieła Chopina, to ukryte pod kwiatami armaty". Zaś Liszt stał się jego wielbicielem i napisał pierwszy monografję o Chopinie, a usłyszawszy, „Marsza pogrzebowego" wykrzyknął, że tylko Polak mógł napisać, bo w dźwiękach dzwonów słychać wszystko, co naród idący za własnym pogrzebem czuć może.

Przypuszczam, że nikogo nie zdziwi to, iż w 80-tą rocznicę śmierci, w naszym „Świecie..." poświęca się tyle miejsca Chopinowi, bo wiele mu my, Polacy, mamy do zawdzięczenia, a naszym świętym obowiązkiem jest pamiętać o tym, który kuł dla nas zbroję narodowego ducha, o tym pod którego wpływami pozostawali wszyscy wybitni przedstawiciele „Młodej Francji"[1]), „Młodej Rosji"[2]) i „Młodej Polski"[3]) czyli na którego podłożu wyrósł modernizm, pamiętać o tym, który pierwszy wniósł pieśń polską do Schubertowskiej wyżyny.

---

[1]) Debussy.

[2]) Skrjabin, Czajkowski, Rubinstein.

[3]) Józef Wieniawski, Juljan Zarębski, Melcer, Karol Szymanowski.

W. Jabłoński.

Bohaterowi cześć!

Kiedy wraz z Tobą skrzydła unosiły
Nasze nadzieje i wiarę w Twe męstwo
Twoje i nasze serca wraz zabiły
Szepcząc nam z mocą: śmierć— albo — zwycięstwo!

My przekonanie żywiliśmy święte,
Że Orzeł Biały i Ty zwyciężycie,
Że połączycie dwa światy odcięte,
Że Polsce sławę do stóp położycie...

Byliśmy zawsze Ludwiku przy Tobie,
Choć rozdzieleni lądem i morzami
I w chwilach lęku szeptaliśmy sobie:
Wszak Idzikowski leci przestworzami.

I serca w piersiach ciszyliśmy drżące
Tą myślą świętą, że jeden z rodaków
Ojczyzny sprawę pochwycił w swe dłonie
I nad ocean wzniósł godło Polaków...

— — — — — — —

Prysły nadzieje, myśli radujące,
Gdy skały darły pierś stalową ptaka,
Gdy śmigło zwisło i dotąd czujące
Zamarło serce wielkiego Polaka.

Dzisiaj Twe imię czarny kir pokrywa,
Ty dziś spoczywasz w bohaterów gronie,
Tyś prochem tylko—lecz sława Twa żywa
Jako znicz święty nieustannie płonie.

Jej nie pochłoną oceanu fale
Ni obcej wyspy nie rozbiją skały
Bo między nami istnieć będzie stale
Ów pomnik uczuć dla Twej wielkiej chwały.

J. K., G. P: T:

Częstochowa we wrześniu 1929 roku.

DLA CHWAŁY OJCZYZNY.

Po raz drugi wdarło się imię Polaka w bezmiar nadoceanicznych przestrzeni, po raz drugi ruszył do boju z naturą metalowy ptak, niosąc w swem wnętrzu dwa życia. Zawarczało potężne śmigło, rozrywając z wściekłością tumany chmur i mgieł, zasłaniające drogę do upragnionego celu, do ziemi Kolumba.

I rozdźwięczały się dzwony radośnie w ów pamiętny dzień 13-go lipca po wszystkich ziemiach Polski. Nie było ust na którychby niewidniały imiona bohaterów, Kubali i Idzikowskiego, którzy gardząc własnem życiem, poszybowali w podniebne krainy po sławę dla ojczyzny. Pierwsza nieudała próba zdobycia Atlantyku, zazdrośnie strzeżącego swych praw, nie zniechęciła tych bohaterskich pionierów sztuki Ikara, była raczej podnietą do podjęcia ponownej walki z nieokiełznanym żywiołem.

Pobiegły wraz z nimi ponad sine fale oceanu myśli całego narodu, a oni to czuli i duma z powierzonego zadania rozpierała ich piersi.

Nie było im jednak przeznaczone zaznać radości zwycięstwa, podobnie jak i ich wszystkim poprzednikom. Dziwną ironją losu wyspa o szumnej nazwie Gracioza stała się widownią tragedji i grobem jednego z bohaterów.

Na obcej ziemi, zdala od ojczyzny, legło zwęglone ciało Polaka, a szczątki rozbitej maszyny, spiętrzyły się ponad zwłokami, tworząc pomnik, piękny swą grozą i prostotą. A wśród ziem polskich rozległ się ponownie dźwięk dzwonów, lecz teraz ponury i głuchy, głosząc już tylko żałobę.

Na karcie, rozpoczynającej się od nazwisk Coli i Nungessera, zostało wyryte złotemi głoskami także imię Polaka, Ludwika Idzikowskiego.

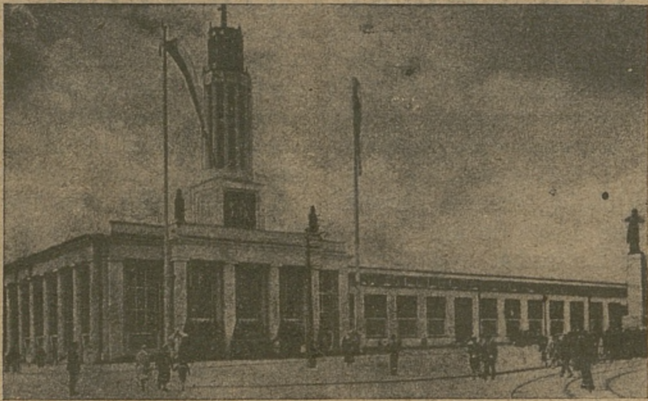
T. Berdysiński.
G. P. T.

Powszechna Wystawa Krajowa.

Powszechna Wystawa Krajowa, której zadaniem było przedstawić dorobek kulturalny Polski z okresu jej niepodległości, odurzała i oszałamiała swym ogromem zwiedzającego. Było to dzieło zakrojone poprostu na miarę tytaniczną. Odczuwało się w niem myśl twórczą, myśl konsekwentną, która całe państwo zaprzęgła do znojnej ale owocnej pracy. Obywatele jednego kraju podali sobie ręce i przystąpili do wzniesienia budowli ogromnej wspólnemi siłami, jednym duchem jednakiem pragnieniem natchnięci. Nic dziwnego, że ten wyraz wspólnego wysiłku tak wstrząsające uczynił wrażenie.

Aby Wystawę tej miary zwiedzić gruntownie, trzebaby kilka miesięcy czasu, do każdego działu przygotować się specjalnie. Ale i potężny rzut oka wystarcza, aby pojąć całokształt rzeczy, syntetywnie niejako, nie wnikając coprawda w głębię. Zwiedzający wystawę miał zadanie ułatwione systematycznym podziałem całości na poszczególne dziedziny. Rozmaite broszurki pozwalały mu rozszerzyć jego wiedzę w danym kierunku. Objaśniający i oprowadzający po wystawie z ramienia P. W. K. pełnili w przeważającej większości swe obowiązki bardzo sumiennie, nie żałując trudu na uprzystępnienie słuchaczom obcych im niekiedy zagadnień. Ci, którym była powierzona piecza nad pewną odrębną jednostką całości, nie byli to przygodnie zebrani i na te pozycje, wyznaczeni ignoranci, lecz każdy z nich był fachowcem, orjentującym się doskonale w wyznaczonej sobie dziedzinie.

Na wystawie, która żadnej strony życia gospodarczego czy kulturalnego nie pozostawiła nietkniętą, uwypuklały się doskonale zainteresowania i zamiłowanie zwiedzających. Widać było chłopów, pogrążonych w milczącej zadumie nad narzędziami rolniczemi, uczonych, badających skrupulatnie wykresy dla laika niezrozumiałe i przeto nudne. Każdy



znalazł coś specyficznie swojego, coś, co go zajęło i od czego trudno mu się było oderwać. Ale czas nagli, trzeba porzucić badanie, aby pójść dalej i patrzeć. A tam już czeka nowy widok, nowe w nas budząc wrażenie. Zmieniające się jak w kalejdoskopie obrazy nie pozwalają odpocząć, tysiące pojęć, tysiące myśli wdzierają się prawie gwałtem do mózgu i huczą i wichrzą po nim bez chwili wytchnienia, młyn straszliwy powstaje w głowie i kręci potwornemi skrzydłami, porywając w wir swój wszystko, co przeszłe, przesłaniając je jakąś mgłą nieprzejrzystą, pozostawiając tylko chwilę obecną. Szeroko rozwarte, wiecznie głodne oczy pochłaniają wszystko, cokolwiek im się nasuwa: dzieła sztuki, potężne, pełne dostojeństwa i ukrytej mocy maszyny, całe fabryki, pociągi, samoloty, i djabelskie kolejki „Wesołego miasteczka“ mknące z rykiem i gwizdem gdzieś w podobłocznych krainach, ruchome chodniki, schody, doprowadzające do rozpaczy wspinającego się na nie, beczki śmiechu, całe to omurowanie. Przytem w jakimś szalejącym groteskowym tańcu, wikłające nas w swych susach, maniące, oszałamiające... Reklamy świetlne, fajerwerki, radja, gramofony, organy, symboliczne statuy i posągi, przeróżne okazy hodowlane, umieszczone przy drogach, słupy z danemi statystycznemi przykuwają naszą uwagę do siebie, walczą o prawo pierwszeństwa. A z całego konglomeratu rzeczy różnych i pozornie niezmiernie dalekich od siebie wyłania się powoli lecz ciągle to, co było celem inicjatorów wystawy, pojęcie, czem jest państwo polskie i jakiem jest ono.

S. G.P.H.S.

W czas siewów.

Gdzie w blaskach słońca czeka ziemia czarna
Na chwilę ową, gdy ze zgrzebnej płachty
Na ojców zagon rzucimy swe ziarna...

* * *

Choć praca ciężka, przeciwności wiele,
Wierzymy jednak, że próżna nie będzie...
Choć długo czekać musim na czas zbiorów,
Muszą zaszumieć wreszcie kłosy wszędzie...

Pracować musim twardo, nieugięcie
Na tym zagonie do końca roboty,
Nim będziem mogli oglądać swe plony,
Nim żniwo przyjdzie, czas zbierania złoty.

Ludziński Marjan
G. R. T.

Częstochowa, początek roku szkolnego 1929-30.

15-cie lat pracy dla młodzieży.

Ludzkość oddaje zwykle hołd wybitnym jednostkom, których zasługi wyłaniają się niekiedy dość późno z pod pyłu czasu, przełamują zaporę niedoceniania tychże i jako Feniks odradzają się z zapomnienia, okrywają glorją imiona szlachetnych mężów. Zdarza się jednak niekiedy, że wielkość zasługi nie pozwoli ukryć się, gdyż jej skutki promieniejąc i dodatnie wpływy wywierając na otoczenie, zmuszają pomimo woli do oddania im należnego uznania i hołdu. Do jednostek wybitnych, których zasługi uznaje całe społeczeństwo, należy obecnie pan dyrektor Wacław Płodowski, obchodzący jubileusz piętnastoletniej pracy na stanowisku kierowniczem w obecnem gimn. im. H. Sienkiewicza.

Cała młodzież częstochowska, niewątpliwie zdaje sobie jasno sprawę z tego, co dla niej jubilat czyni, zdaje sobie sprawę, że żyje pośrednio lub też bezpośrednio pod działaniem twórczych promionek, jej niezmordowanego pedagoga, wychowawcy, moralnego stróża i ojca. Rodzice, uczącej się młodzieży, doceniając wybitne zasługi, których rezultaty dla ich nadzwyczajności nie dadzą się zaliczyć do działu spełnionego obowiązku przez człowieka stojącego na kierowniczem stanowisku, ale do aktów ofiarnego poświęcenia się dla sprawy, w jednym wielkim odruchu chcieli podkreślić to i we wspólnym hołdzie dać wyraz wdzięczności i podzięki, tak mało proporcjonalnej w stosunku do spełnionych czynów. „Największy heroizm ducha, to walka co nie wybucha, praca bez wieńca". — bo jakąż pracą jest szara praca nauczyciela wychowawcy? — Ciągłe zmaganie się z przeciwnościami losu, kamienie ciskane pod stopy przez krótkowzrocznych, w postaci nierzeczowej krytyki, niekiedy nieuzasadnione pretensje niby to „pokrzywdzonej i uciskanej" przez regulamin młodzieży, oraz niekiedy trudne warunki materjalne, stwarzają ciężką pracę bez wieńca, — pracę nauczyciela-dyrektora.

Dnia 28 września 1929 r. staraniem specjalnie wyłonionego komitetu z pośród sfer miejscowego społeczeństwa i rodziców, w uroczystym akcie szkolnym dano upust niekłamanym uczuciom, które bezwzględnie mogą być tylko skutkiem zrozumienia dobroczynnej działalności pana dyrektora W. Płodowskiego na terenie miejscowego szkolnictwa. Cicha praca, bez rozgłosu i zaszczytów, na szarej i ciężkiej drodze życia, w tym wypadku musiała się wyróżnić, ze wszech stron biegły wyrazy hołdu i uwielbienia, wyrazy szczere, płynące z głębi dziecięcych serc, a zwarte bądź to w pieśni, t. j. kantacie odśpiewanej przez chór mieszany przy akompanjamencie orkiestry, bądź to w pełnych uczucia przemówieniach, przedstawicieli młodzieży, czy to klas, czy poszczególnych organizacji, oraz byłych uczniów, maturzystów. Rodzice ze swej strony, przez swych przedstawicieli, wręczyli jubilatowi księgę pamiątkową z podpisami, oraz akt rejentalny stwierdzający założenie wieczystego nienaruszalnego funduszu stypendjalnego im. Wacława Płodowskiego powstałego z zebranych ofiar, gdyż każdy choć w drobnej mierze usiłował dołożyć cegiełkę dla uczczenia dnia pamiętnego.

Uroczystość była jakoby żywym pomnikiem wystawionym w sercach obecnych, pomnikiem, który jest wzniosłym usymbolizowaniem, zrozumienia, odczucia, oraz czci i hołdu, dla zasług i czynów.

Niestrudzonemu Działaczowi, za piętnastoletni trud, nad ukształtowaniem doj rzałości moralnej i umysłowej, młodzieży. — Cześć! Oby Stwórca zachował nam Go jak najdłużej, ku polepszaniu dusz naszych, a tem samem ku rozbudowie i poszerzeniu granic, naszej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Z pracy rodzi się złote nasienie przyszłości, z żelaza dźwiga się krwawy koszmar wiecznych niepokojów.

„CZERWONE SŁOŃCE".

NOWELA

Wlókł się oczyma po piasku rudawym alei, po listowiu agrestów, idących kępiastemi grupami w dół, po rżysku zbrunatniałem prawie burem, ciskającem się na całą dalekość między nasi a zmężniałą czarną taśmą dookolnych lasów.

Skroś liście i witki jabłoni przedzierały się złote, świetliste promienie lśniąc na nas i łamiąc się na piasku popodaltanowym w plamy i plamki drgające. W górze rozwierało się w nieskończoność modrzące niebo, zsuwające się błamami błękitu za widnokręgi posiniaczone, dalekie, za plamy rozlane łąki i zasiąkli nadrzecznych z ubocza wzgórza. Przestrzenność ciszy, nieobeszłość głębokiego, jak przepaść milczenia leżała na wszystkiem.

— Słuchaj zaczął znagła — widzisz ty tam tę dróżkę, wijącą się koło Fobusowego mostu ku lasom?

Iskrzyło mu się w oczach i szklniło połyskiem. Zwężone, piwne tęczówki przypominały żywo miedziane krążki spłaszczone po brzegach. Uderzyło mię dziwne zmiękczenie głosu, zwibrowanie ledwie dosłyszalne tonu.

— No oczywiście widzę — odparłem naiwnie, rzucając się oczyma ku owej, zbrudzonej szmacie rżyska, rozciełającej się tępą monotonją bezwględnej równiny.

— Widzisz, no pewnie, że widzisz — cedził zwolna, przewlekle uśmiechnięty a raczej skrzywiony ironicznym grymasem. — Widzimy wszystko, patrzymy oddawna na wszystko, jak na znoszone, zetlałe ubranie. O pewnie, pewnie. Ale jakżesz mało cośkolwiek z tego zapamiętamy. — Kończył tym samym, ironicznym tonem skupionego człowieka, który coś mówi, ale właściwie wcale myśli nie wykańcza, coś wydziera z siebie, ale tymczasem całą pojemność uwagi, sztore myśli kieruje w głąb własną, w syntetycznym rzucie zcalenia, grupowania szczegółów.

Zamilkł oparty o poręcz ławki.

Z poza nas śmignęła zukosa jaskółka rozczapierzając kończaste, szarawe skrzydła. Prześlizgnęła się w jakimś wspaniale — gipkim ruchu w przejrzystych, przelśniewających nawarstwieniach powietrza. Spławiła się w topieli światła, niby kula błękitna skryła się w modrzącej dalekości.

— Tak, tak — jął znowu mówić tym wyjątkowo-miękkim, spieszczonym głosem. — Niby nie. Taka ot sobie zwykła, wąska drożyna jakich wiele przy każdej wsi i na każdem polu. Ale widzisz tam na tej szarej, jak bieda szara, przetlistej ścieżce a raczej poza nią przy lesie miałem dziwny, bardzo dziwny wypadek. Posłuchaj —

Przerwał wpatrzony znowu w jeden punkt przed siebie. Niby obserwował pszczołę, wysysającą słodycz kwietną, niby pełzł wzrokiem za każdem jej wchynięciem w głąb kwiatu, za każdem jej poderwaniem się z korony listnej.

Niby patrzył, ale właściwie nic nie widział.

Wreszcie przemówił tym niespotykanym u niego łagodnym, w przerwach zachłystującym się od jakiegoś wewnętrznego bełkotu wzruszeń głosem.

— Było to już chyba w trzecim roku wojny światowej. W jeden z dni lipcowych, przedżniwnych w takie ot, jak dziś popołudnie bezchmurne, pogodne wybrałem się pod las obejrzeć zboże czy już czasem nie nadaje się do koszenia. Wziąłem z sobą Psota — wiesz — tego z tych rasowych, karmnych jamników, i tak bez niczego, wybrałem się tą ot ścieżką na Folusowy most. Było parno, prawie duszno. Zdjąłem więc marynarkę i w całkiem różowym (niesłychanie rzadkim u mnie) humorze począłem sobie gwizdać, strasznie fałszując, jakiegoś mazurka. Droga cała wypadała mi wśród zbóż szeleszczących, kolebiących się leniwie. Za każdem przychyleniem się kiści niby cień wąski, wzdłuż pól daleki przebiegał ode mnie, przewalił się po kłosach owisłych refleks płowy — ginący, zaprzepaszczający się w męcie i głębi zbóż.

Błękitniły się chabry tuż wedle ścieżki. Wiotkie, zwijające się powoje rosły tu gęsto między rzadszem już i chudszem żytem. Ich kolor jasnej, rozwodnionej zieleni znaczył ten szlak, leżący w skrętach wężowych, pełzających niby zielona gąsienica.

Byłem tak wyjątkowo, tak dogłębnie prześwietlony, przepromieniony czemś nieuchwytnie — radosnem, niedotykalnie lotnem, czemś co wiało i spływało w mą duszę z tych zakoli płowych, że w jakimś chyba bardzo dziecinnym popędzie jąłem zrywać garściami chabry, zanurzać się całem ciałem w gęstwie słomy, biec za psem, który z widoczną i z rozłożoną na porcje premedytacją tłukł się między zbożem, przewracał na miękkiem podłożu powojów, szczekał coniemiara.

Śmiałem się wyjątkowo szczerze, głęboko.

Obliczałem sobie i kalkulowałem, że już za kilka dni trzeba będzie rozpocząć żęcie tego kawału żyta bowiem ziarno wyraźnie już twardniało choć jeszcze przypominało napęczniały, rozgotowany owies. Miałem już nawet wracać do domu W ostatnim jednak momencie przypomniało mi się, iż wczoraj doniesiono mi, że od strony lasu stado dzików zryło i skopało szmat pola. Zdecydowałem się sam obejrzeć szkodę. Zawołałem więc psa i w tym beztroskim, pajęczynowym nastroju puściłem się prędko, rozszerzającą się teraz znagła drożyną. Pamiętam dobrze... Powoi już tam nie było i tylko cherlawe, postrzępione kupki traw zieleniły się tam i sam....

Piasek był sypki, miałki, rozgrzany... Nogi więzgły, wgłębiały się w nim po kostki. Psot biegł czegoś nos trzymający przy ziemi. Dreptał pokracznie zwykłym jamnikowym chodem, wyrzucając za siebie piasek.

Las był już niedaleko. Spostrzegłem wyraźnie pojedyńcze na skraju świerki, sosny garbate, poskręcane okropnie i wreszcie to podcienie czarne, zadymione, śród głębi leśnych. Byłem już bardzo blisko. Żółciły się już z niedali rosochy sośniane... Właśnie rozglądałem się i dopatrywałem owego zniszczonego zakątka, gdy nagle pies dotąd najzupełniej spokojny, charknął okropnem szczeknięciem, zajazgotał przeraźliwą gamą i pognał chyłkiem, błyskawicą w ubocze za zbożem, w okole obszerne, wgłębione, jakie osłaniały skarlałe jałowce.

Żgnęło mię coś w sobie.

Pobiegłem. Wrychle byłem na miejscu.

Przerwał nagle coś jakby dysząc trochę. Cień drzewa wyciągnął się był i wydłużył już znacznie. Żwir alei mienił się już teraz jasnym, wyraźnym odbłyskiem mosiądzu. Bezruch i bezgwar przerywało li tylko niekiedy buczenie osy mściwej lub brzęczenie rozwrzeszczałe muchy zabłąkanej. I tylko czasem w czasu przedziale rzadkim gdzieś od góry niby po tafli błękitnej powietrza spływał w zakolach i zabłąkaniach się sennych, mgławych, pojedyńczy liść z jabłoni.

— Przy jednym z jałowców — jął mówić znowa, równomiernie rozkłając akcent na zgłoskach — stał jakiś człowiek. Jak dziś go widzę. W hałacie i jarmułce żydowskiej w trzewikach czy nawet pantoflach, z których wyzierały gołe palce ze wspaniałą brodą spadającą na piersi jak wryty tkwił w jakimś piekielnym, oszalałym strachu czy rozpaczy. Ach ta jego rozpacz. To skulenie się całej jego postaci i to gorączkowe zezowanie jeżdżenie oczyma, błyszczącemi, jak gładź lustrzana po mnie, po psie, warczącym u nóg, po całem tem nadbrzeżu leśnem zda się w jednem tylko szukaniu, w jednem tylko zawarte pragnieniu — ratunku. Parę razy urywanie szybko poruszył kijem, ale wnet go opuścił. Zgiełk myśli, wrzask niepewności bił z tych lekkich ledwie dostrzegalnych poruszeń jego głowy, ramion i rąk. A i ja sam byłem strapiony wprost obezprzytomniały tem niezwykłem, nagłem i najzupełniej niespodziewanem spotkaniem. Nie wiedziałem wprost co robić jak się odezwać? Rozumiałem tylko a raczej czułem całym sobą ten ciężar nieznośnej zobopólnej ciszy milczenia, wstapiającej się w majestatyczny szum boru. Jak tu jednak jakie słowo powiedzieć? Jak tu coś złapać? Nie. W głowie tkwiła pustka przerażająca pustka, noc, mrok.

Uprzedził mię on sam.

Jakimś twardo — zdeterminowanym, w ostatniej czarnej myśli chyba powziętym, ruchem przybliżył się ku mnie i nagle o dziwo w najczystszym, rosyjskm dialekcie rzucił mi jedno pytanie:

— Daleko Moskwa? —

Osłupiałem. Przez chwilę snuł mi się w głowie tylko ten jeden wyraz, Moskwa Moskwa, Moskwa, a potem już inne myśli rwały, ciągnęły gżęzły w mojej świadomości.

Tak to on to powiedział. Tak to on. A więc ten hałat i ta jarmułka to tylko jakaś zdumiewająca mistyfikacja. To więc nie syn Izraela, ale Rosjanin, Moskal najczystszej krwi. Ale co on tu robi? Poco tu przylazł w te odludne leśne, przetliska uboczne. Chyba żołnież. Ale przecież front przewalił się już był dawno ku wschodowi, ku azjatyckiej Rosji? Zresztą, pominąwszy wszystko, gdzież tu miało jednak miejsce tak idjotyczne pytanie — Daleko Moskwa? Tu gdzie mało kto o niej słyszał? Nic prawie? Nieprawda. Toć to śmiech. Teraz dopiero po tem bezhołowie myśli rzuciłem uważniejszy wzrok na jego twarz. Była barzo dziwna. Rzeżała się okropną bladością, przyćmioną sinym reflektem, jaki się rzadko spotyka u pewnych gatunków glin. I tylko w tej twarzy niby w masce, uszminkowanej okrutnie na „grobowo" tliły się jak dwa srebrne gwoździe oczy niezwykłe oczy zda się schwytające a raczej czekające na każdy wyraz sfrunięty z mych ust. Początkowo chciałem sobie zadrwić niemiłosiernie z tej jego Moskwy. Ale te oczy zatkały, zamusowały we mnie wszelki grymas śmiechu. Skonfudowany nieprzy nieprzyjemnie jąłem mu mówić tylko nieświetną rusczyzną, przypominając sobie dawno już nieużywane rosyjskie wyrazy.

— Słuchaj... do Moskwy... do Moskwy... o to kawał drogi, szmat wielo, wielowiorstowy.... Ale po co ci...

Nie skończyłem uderzony niezwykłą zmianą jego postaci. Niby różanopalce świtanie wraz z pierwszem, snem słowem rosyjskiem rozśłniło się na jego twarzy, przefalowało tajne, radosne uniesienie.

— To ty Rosjanin — zawołał — to ty brat? A to już Rocja? Prawda? A ja tak drżał, myślał, że ty mię już zgubisz. O nareszcie, nareszcie. Dwa miesiące już idę, wlokę się z przeklętej, niemieckiej niewoli. Od trzech dni nic nie jadłem, od czterech już nie śpię. Wzięli mię na Mazurach. Byłem ranny. Ten swołocz Renenkampff zdradził nas, pod noże wydał. Ale nic... Przysiągłem sobie, że wrócę do matuszki Rosji.., Ot i wracam... Pilnowali... Nic... zbiegłem....

Było coś tak dziecięco—ufnego i szczerego w tych słowach, w tem szepleniu zrywanem, śpiewnem najczystszym akcentem obrzmiałem, że nie miałem, wprost nie mogłem mu przerwać. Zresztą cóż mu miałem mówić? Ale dziwna rzecz. W pewnym momencie, w jakimś ułamku czasu coś stwardniało, skrzepło we mnie.

Oto już masz rozwiązanie zagadki — ryło się przez świadomość — oto stoi przed tobą tu syn odwiecznego wroga naszego, członek plemienia żmij, sługa ślepy białego cara i jego świętego prawa. Ongi pan dziś włóczęga o kiju. Rozbitek historji. Zawyło coś we mnie w tajonej chęci dokuczenia mu, dogryzienia do żywego.

— Przepraszam pana — jąłem mówić, twardo wyrzunając sylaby — pan się pomylił. Tu jest Polska i ja nie jestem Rosjaninem, ale Polakiem... Polakiem... — kończyłem sycząc prawie ostatni wyraz.

Jakże doprawdy żałowałem tych ostatnich słów.

Bezgraniczne zdumienie a potem szybka, gromowa rozpacz rozlała się, roztliła w tych jego niezwykłych, powiedziałbym, niesłychanie prawdomównych oczach. Rozwarł usta. Chcał coś mówić. Ale głos zamarł mu, zarwał się jakby go ktoś pakułami zatkał gdzieś w krtani. Tylko dolna szczęka zadrgała parę razy. Wreszcie wykrztusił cicho prawie do samego siebie. — Zgubionym, zgubionym. Poco ja mu to wszystko gadałem. Poco?

Przerwał znów swe opowiadanie, nasłuchując niejako brzmienia własnych zamarłych słów. Przed siebie wyciągnął laskę, opierając na niej splecione dłonie.

W wykrocie na lewo srebrzyły się białem mleczywem pnie brzóz. Długie bisiory liści niby wiecznie ściekające nitki zieleni zwieszały się ku ziemi. Od dołu zaś koło pniów zwierała się gęsta oblepa, zielony płomień krzów, liżący sterczące rosochy i wyrośla.

Przelśniewało, perłowiło się w roztocz czystą, jak oczy dziecka, w odchlisko bezkresne do dna zmodrzałe, w łachy zlekka opalowe po nieskończonościach rozwieszone.

— Tak naturalnie — snuł dalej swe opowiadanie — upierał się. Nie chciał iść. Ale i ja postawiłem na swojem. Perswadowałem, tłumaczyłem wreszcie, przyrzekłem mu, iż choćby dla tych jego oczu dziwnych, nie zgubię go. Poszedł. W domu bałem go się zostawić, gdyż wiedziałem już dobrze z tego, co mi powiedział mimowoli pod lasem, iż o ile możności powinien był unikać jakiegokolwiek spotkania z ludźmi a szczególniej i przedewszystkiem z władzami austrjackiemi, gdyż muszę zaznaczyć, że działo się to wszystko na terenie okupacji austrjackiej. U mnie natomiast austrjaccy żandarmi bywali i kręcili się bardzo często, jako, że granica niemiecka leżała w pobliżu i że zresztą u właściciela jakiego takiego folwarczku zawsze coś umieli dla siebie uszczknąć i zyskać. A o to im przeważnie chodziło. Zdecydowałem się więc go ukryć w dużej szopie pełnej świeżego, czerwcowego siana, a leżącej już trochę w polu. Tam go też rzeczywiście zaprowadziłem. Zgłodniały i zmęczony łykał wprost jedzenie, które mu tam przyniosłem, a potem we wszystkiem runął bez ceremonji na siano i zasnął. Skulił się w kłębek. Kolanami tykał wprost brody, mamrocząc przez sen.

Czegoś byłem bardzo niespokojny. Austrjacy wyjątkowo kręcili się licznie. Podobno wyłapywali jakąś bandę przemytników. Kilku z nich bawiło i u mnie. Ale byli to tak zwani „dobrzy znajomi", co do których mogłem być najzupełniej spokojnym. I zapewnie nietyle ta wizyta niepokoiła mię tak bardzo ile raczej osobistość mojego, niespodzianego gościa.

— Kto zacz to mógł być? — stawiałem sam sobie powielekroć to pytanie. Sądząc ze wspaniałego akcentu mowy, sposobu obejścia i wogóle rysów twarzy, należało przypuszczać, iż pochodził z inteligencji. A więc był zapewne jakimś oficerem? Ale w takim razie po co uciekał z niewoli? Przecież chyba starszyznę traktowano znaczne lepiej w obozach koncentracyjnych, niż zwykłego jeńca? Mógł więc był czekać spokojnie aż do jakiegoś rozwikłania się wojny i nie narażać się bezsensownie na niebezpieczeństwa. Zresztą, pominąwszy milczeniem pobudki i motywy ucieczki, jak on mógł przejść szczęśliwie tak wielki szmat drogi gdzieś z głębi Niemiec? To już doprawdy była dla mnie wielka zagadka. Próbowałem to sobie tłumaczyć w najrozmaitszy sposób. Ale za każdym razem rozumiałem dobrze przerwy w przesłankach, luki we wnioskach. Przecież ten człowiek z daleka uderzał niezwykłą, już choćby dlatego, że zmizerowaną fizjognomją. A całe to przebranie żydowskie było tylko tak nędznem i słabem maskowaniem, że jasnem się stawało, iż każdy głębiej wzierający człowiek, mógł go bez trudu na wylot przejrzeć, prawdę całą z niego wymotać.

Nad wieczorem następnego dnia zaszedłem do niego. Jedzenie, które mu koło południa posłałem, stało nietknięte. Snać wcale nie budził się ze snu. Zwinięty w ten nienaturalny kłębek, z jedną ręką, podłożoną pod głowę, leżał w tej samej mniej więcej pozycji, co wczoraj. Poprawiłem na nim koc. Ani się ruszył. Ogromny, wielopalczasty pająk wlazł mu w pewnym momencie na zsiniałą rękę i posuwał się zwolna, kolebiasto ku ramieniu. Strąciłem go momentalnie, ale nie wiem dlaczego dziwne jakieś żgnięcie wewnętrzne, okropne obrzydliwe załaskotanie podsunęło mi obraz, kłąb myśli, że oto tutaj przedemną leży trup, a zewsząd, ze szpar i z zakamarków wywleka się boże stworzenie podziemne, mrówki czarne, karaluchy smolne, pijawki jakieś nienazwane i wszystko to idzie, wspina się na niego, drze się do oczu, nosa, ust, wsysa się, wwierca w skórę, rozgryza ją w kawały.

Uciekłem wprost przerażony.

Całą noc nie spałem. Ciągle mi stała przed oczyma, szarpała całą świadomością ta myśl nieodstępna, że tam z nim dzieje się coś niezwykłego, że może ktoś po niego przyszedł, wziął śpiącego i zaniósł hen precz daleko. Może go już niema? Może uciekł? Ale nazajutrz znalazłem go śpiącego jeszcze. Dopiero w południe dnia trzeciego, licząc od momentu znalezienia go przy lesie, ocknął się. Gdy, jak każdego dnia, przyszedłem do szopy, zastałem go już siedzącego nieruchomo z rękoma założonemi na piersiach. Pozdrowił mię uprzejmie, zaczem zjadł posiłek najspokojniej w świecie. Następnie dziękował mi parę razy za gościnę, jakiej mu użyczyłem i wreszcie oświadczył, iż nade zmierzchem wyrusza w dalszą drogę.

— Dokąd? — zapytałem z uśmiechem.

— Do kraju. — odpowiedział wpatrzony gdzieś poza mnie w coś, co go absorbowało zupełnie.

— Do kraju? A no naturalnie i z pewnością do Rosji? — jąłem mówić — ależ proszę pana nawet marzyć o tem nie można. Czy pan wie, co to znaczy iść teraz do Rosji tu z tego miejsca? Otóż iść tam tu stąd, to znaczy ta samo, co przebyć kilkaset z okładem wiorst, przejść przez zwarty front niemiecki, unikać na każdym kroku ludzi, bo teraz każdy, każdy człowiek to twój wróg, wlec się piechotą, nie wiedząc, gdzie się położysz, gdzie się przytulisz, czem się nakarmisz. No trzeba też mieć i zdrowe nogi a nie takie jak twoje — kończyłem, spoglądając mu w oczy. Siedział dziwnie spokojny we mnie a raczej poza mnie ciągle patrzący.

— No i cóż pan myśli? Prawda, że trzeba zostać? — rzuciłem. Potrząsnął poważnie, głęboko głową. — Nie. Trzeba iść.

— Ależ to nonsens, zupełny nonsens, warjactwo — rzucałem gorączkowo wyrazy. — Proszę tylko wziąć na rozum, dotknąć się realnej, kanciastej, jak kamień nieobrobionej, rzeczywistości. Człowiecze, gdzież ty zajdziesz, czy dowleczesz się? Słuchaj. Znasz ty chociaż polski język?— Potrząsnął przecząco głową — No więc i jakżesz ty przejdziesz przez nasz kraj? Jeszcze raz pytam się — jak?

Uśmiechał się tak dziwnie, lekko, jakkażde moje słowo nicował odrobiną roześmianej ironji.

— Słysz ty — jął mówić — czy ty wiesz, co to nie mieć domu, zdala być od wszystkiego, co swoje, co drogie, co ukochane? Czy ty wiesz jak jam się męczył, żem tam w Rosji dalekiej być nie mógł, jak oni walczyli. Czy ty wiesz? Jak my posłyszeli tam w głębi Niemiec, że u nas przewrót, że u nas Kiereński władzę w ręce wziął, tak już nie wytrzymać było. Złączyło się nas kilkunastu. Uradzilim. Przysięglim, że żywi do ostat ka rwać się będziem ku Rosji. Tam sobie w sercu jej wielkiem, w Moskwie, naznaczyliśmy zbór. Tam się mamy spotkać. Cara już niema. To, co my śnili i o czem marzyli, w zjaw się przelało. Rosja idzie nowa. My tam musim być. Poszło nas kilkunastu na różne drogi. Przekopem się wyrwalim. Niemców zmanili. Wielu nas nie dojdzie. Ale kto żyw tam musi iść. — Wyciągnął rękę na wschód. — Ot widzisz bracie dlaczego ja idę — kończył. Milczałem. Cóż miałem mówić?

— Ot durny ty i wasza Rosja — rzuciłem na odchodnem. Wróciłem się jednak. — Nad wieczorem przyjdę cię wyprowadzić — powiedziałem mu jeszcze i wyszedłem.

Byłem bardzo zły, a raczej niezadowolony z siebie, z tego, jak myślałem upartego Moskala, człapiącego dobrowolnie po najgorszy los, z całego otoczenia, że świata. Zwymyślałem fornali, o mało co nie wyszturchałem chłopaka stajennego. Wreszcie wpadłem do domu, zamknąłem się w jednym z pokoi i oddałem się niewesołym myślom. Oto już się zdecydował, już pójdzie. A niech sobie idzie na złamanie karku, gdzie go oczy poniosą — rozumowałem — niech idzie, niech buduje swoją, matuszkę — Rosję. Czy zginie gdzieś wśród drogi, czy dojdzie, cóż mię to właściwie może obchodzić? Jednego człowieka mniej? Wojna obecna pożarła ich i pożera miljony, a świat nie zwala się jakoś z hurgotem i rumorem przeraźnym. Cóż dopiero jeden człowiek? I tak będą ludzie nowi na nowo żyć. A niech sobie idzie.

Nad wieczorem wyszedłem z domu, biorąc z sobą starą mapę Królestwa Polskiego. Czekał już na mnie u węgła szopy. Poszliśmy w milczeniu tratwą torfiastą przez błonie. Ja na przedzie on z tyłu. Nie odezwaliśmy się ni słowem. Słońce już zachodziło, spływało ku wezdołowiu dalekiemu. Ordzawiły się, pociągły już miedzią bulwy i gruzły torfiane. W wądołkach krągłych, niby w oczkach maleńkich polipa wielkiego, gdzie się wiecznie pilśniła stara woda, płynęło żywą krwią. Gdzie niegdzie tylko szczotka trawiasta lśniła się słabym mosiądzem. Pichitki z tkliwym głosem rozdzierały się nad nami.

Wnet doszliśmy do lasu. Zatrzymałem się.

— Tu się rozpoczynają — jąłem mówić — wielkie lasy, idące precz milami na wschód. Idź ciągle niemi. One cię będą same wprost prowadziły. Tu masz mapę. Stara ona, może niebardzo dokładna, ale innej nie mam. Niech cię Bóg prowadzi. Unikaj — powiadam ci — o ile możności, unikaj ludzi. Gdybyś mógł zrzuć gdzie ten hałat a postaraj się o świtkę chłopską. Będzie ci z tem bezpieczniej. Ja ci już nic więcej poradzić nie mogę.

Stał przedemną i patrzył się na mnie i patrzył. Potem ujął mię za rękę i pamiętam jak dziś, powiedział te słowa:

— Nie znasz mojego nazwiska i ja ci go nie powiem. Gdy dojdę do Rosji, wówczas napiszę list do ciebie i wszystko się wyjawi. Gdy jednak nie dowlokę się tam, nie dowiesz się o mnie nigdy nic i dług mój nie zostanie spłacony.

— Do świdania — zawołał nagle, odwrócił się i poszedł przed się.

Rysowała się jego lekko przygarbiona sylwetka, czerniła się plamą jeszcze, potem wtopiła się, rozchwiała w cieniu boru. A las całą zwartością drzew, igliwem zadymionem, czarnem, ogromnem potwornem milczeniem zawierał się za nim.

I tylko jeszcze niby echo z rozwartej mogiły doleciało mię jego drugie ostatnie pozdrowienie: — Do świdania.

Potem i to skonało.

A przez drzewa na wzgórzu, niby przez ogromne wszerz rozstawione pale bez miłosierdzia, bez litości wbite skroś żywy człon ziemi, prześwietlało, przekrwawiało się ostatnim zrębem konające czerwone słońce. Skośne, przydługie promienie niby wielkie przez całe niebo szprychy purpurowe, żegadła rozpalone lizały świat.

Wracałem śpiesznie do domu. — Zamilkł i już nie wszczynał opowiadania. I wówczas to tylko w pewnym momencie spytałem go szeptem ciekawym, przyciszonym.

— Czy dostał pan kiedy od niego ten przyobiecany list? —

Potrząsnął głową.

— Nie, nigdy!

J. K. G. P. H. S.

KĄCIK NAJMŁODSZYCH.

Pod tym tytułem redakcja otwiera nowy dział w pisemku, do którego zaprasza najmłodszych autorów.

Jesień, jesień już w świecie
Wygnała lato tak wcześnie,
A przypomina nam mroźną zimę
I śnieżną pleśnię.

Ciągle jest chmurna, albo wiatrem wieje
Gdzie spojrzysz, tam z deszczu woda,
Gdzie idziesz, wszędzie błoto
Ach! lato jak cię nam szkoda.

Ptaków już niema, umilkły ich śpiewy
I cicho wszędzie na świecie,
Któż się spodziewał tak brzydkiej pogody
Po ładnym, słonecznym lecie.

Brzydko w alejach, siedzieć musisz w domu,
Aż zbliży się koniec jesieni,
Miejmy nadzieję, że po takim czasie,
Wszystko się zmieni.

Br. Idzikowski.
G, P, H, S, kl, III-B.

ŻYCIE SODALICYJNE.

O potrzebie uświadomienia religijnego Sodalisów.

Jeden ze znakomitych pisarzy obecnej doby trafnie określa ducha ludzkiego, mówiąc iż człowiek z jednej strony, przy daleko posuniętej kulturze mate-

rjalistycznej i pędzie ku rozwiązaniu niezwykłych zagadnień, zdobywa coraz to więcej nauki, z drugiej zaś strony zatraca pierwiaski religijne, potrzebne naszemu duchowi i zbliża się do pogaństwa. W pierwszym wypadku zaznacza się ogromny postęp w dziedzinie czysto fizycznej, w drugim natomiast straszliwy upadek ducha, zapominanie o swojem człowieczeństwie i powolny zanik życia duchowego, życia religijnego.

Czemu to wszystko przypisać, gdzie szukać przyczyny, która wywołała takie ogromne kontrasty między rozumem, a duszą?...

Czy mamy szukać w samym człowieku owej przyczyny, czy jego sposobie myślenia, lub też w zasadach wiary?...

Nie!

Przyczyną jedyną tego jest to „male du siécle", to zło wieku, to gorączka, jaka ogarnia w dzisiejszych czasach wszystkie pokolenia, w gonitwie za wynalazkami, mechaniką i t. d. — za ulepszeniem sobie warunków życia.

I oto tu właśnie rodzą się owe zasadnicze różnice między pojęciami rozumu i duszy, gdyż człowiek goniąc prawie ciągle za jedną rzeczą, zapomina tem samem o drugiej. Stąd większa część ludzkości dzisiaj ma głowę zajętą w znacznej mierze dobrem przemijającem a o dobru, „które trwa wiecznie" zapomina, lub poprostu nic nie chce o niem słyszeć. Nadomiar złego, człowiek kładzie religję, — uznawaną wszędzie za prawdziwą — pod lupę własnej krytyki, bada ją, wydaje o niej sąd, kładzie ją na drugim, a nawet w niektórych razach na ostatnim planie, wyrzuca z niej to, co krępuje w działaniu, a wreszcie przerobioną i zniekształconą — przyjmuje.

Lecz to jest jeszcze grupa lepsza z pośród tej części ludzkości, owianej duchem „male du siécle". Są natomiast także i tacy, którzy, pogrążeni całkiem w świecie materjalnym, uważają zupełnie za zbyteczne wyznawać jakąkolwiek religję. Zdaje im się, że teraz modnie jest być ateistą, lub wyznawać religję własnego pomysłu, nie krępującą w niczem człowieka.

Dlatego to stwarzają oni nowe pojęcie Boga i wiary, napadają na prawdziwą religję, stawiając jej najrozmaitsze zarzuty. Tem się tłumaczy powstawanie coraz to nowych sekt religijnych i powątpiewań w wierze.

Niemal każdy młodzieniec zaczyna zastanawiać się nad swoją religją, zaczyna wyrażać zdania: „To mi się nie podoba", „Tak nie powinno być" itd. itd. Gdy zaś osiąga stopień dojrzałości i rozumowanie jego staje się głębsze, wtedy zaczyna analizować religję, dostosowywać ją do swych wymagań, lub wyciągać z niej i ogłaszać światu mylne swe poglądy, popierając je „argumentami" sławnych mężów. Oczywiście cichy i gorliwy ów wyznawca, nieprzygotowany na żadne niebezpieczeństwo, częstokroć ponosi uszczerbek w wierze. Gdyby jednak był więcej uświadomiony pod względem religijnym, nie dałby się wywieść w pole.

By zaradzić temu, Kościół Katolicki zakłada w swym łonie wiele różnych stowarzyszeń religijnych, mających na celu pouczać swych wyznawców o prawdach wiary, wyjaśniać niektóre zagadnienia z etyki, aby w każdej chwili, bez pomocy innych, mogli oni stawić czoło nieprzyjacielowi.

Takiem to stowarzyszeniem religijnem jest i Sodalicja, takim obrońcą swej wiary mamy być my — Sodalisi. Sodalicja wzięła nas w swoją opiekę dla tego, aby przedewszystkiem wykształcić nasz charakter i przez pewne wskazówki nałożyć na nas obowiązek bronienia wiary. W tym celu musimy gruntownie poznać swoją wiarę, wyczuć jej ducha, uznawać ją sercem, rozumem i duszą całą. Tam, gdzie nie będziemy mogli sami zgłębić tajemnic wiary rozumem, uciekajmy się zaraz o pomoc do pisarzy i doktorów Kościoła, abyśmy czasami nie popadli w błąd. Z tego też względu czytaj ich dzieła, a stamtąd, — zapewniam was, drodzy sodalisi — skorzystamy tyle, że, choć wrogów religji katolickiej (jak przedstawiłem to powyżej) jest dużo, to jednak my im śmiało i mężnie stawimy czoło i odeprzemy ich ciosy.

W dzisiejszych czasach tyle jest zła,

tyle krąży około nas nieprzyjaciół, którzy chcieliby gwałtem wyrwać ten najcenniejszy skarb naszej duszy — religję, że trzeba się ciągle mieć na baczności. Bądźmy przeto Sodalisi tymi depensores fidei, nie dajmy nieprzyjaciołom szargać religji naszej, brońmy jej przeciwko wszelkim zarzutom przedtem jednakże bądźmy doskonale uświadomieni religijnie.

Ja, jako Sodalis i twój kolega zarazem. zachęcam cię ze swej strony usilnie do tej pracy. W powyższych słowach nawołuję cię wprawdzie do trudnego zadania. Nie zrażaj się tem jednak, gdyż przy dobrych chęciach zdziałać wiele potrafisz.

Z. Z. Sod. M.
G. P. T.

DZIAŁ AKADEMIKA.

Zaczynamy... — Co słychać na terenie akademickiem? — Inauguracje. — Nowości wydawnicze. — Jaskółki przedwyborcze... — Q. B. F. F. S.

Już po raz czwarty, ku radości wszystkich i może ku zdumieniu „poniektórych" nasz Świat Szkolny rozpoczyna swą żmudną, a szczytną pracę.

Radość to wielka, zwłaszcza dla nas — tych, którzy od początku z entuzjazmem i wiarą w „Świecie" pracowali.

I dziś pozwolimy sobie za Galileuszem, już nie o ziemi = świecie, ale o naszym kochanym „Świecie Szkolnym" wykrzyknąć:

— **E pour si muove! A jednak się porusza!**

W bieżącym roku szkolnym my akademicy nawiązaliśmy znowu łączność ze szkołą i z Wami kochani koledzy.

Będziemy kontynuowali zeszłoroczny dział akademika, w którym stałą częścią będzie mój feljeton p. t.: Listy akademika z Warszawy, oczywiście nie groźna to chyba konkurencja dla świetnych „listów tygodniowych" p. Kornela Makuszyńskiego w „Il. Kurjerze Codz." (Prawda ? !)

— Ale cóż tam słychać na terenie akademickim? Na wyższych uczelniach ruch już od października. Oczywiście ruch ten stwarzają i potęgują głównie t. zw. fuksowie, czyli nowowstępujący studenci. Nawiasem zaznaczę, że ów termin gwary akadem. na szerszym terenie akadem, ma znaczenie przenośne, bo dosłownie „fuks" oznacza wstępny, stopień hierarchji korporacyjnej, zaś w spolszczonej terminologji korporacyjnej brzmi: giermek. Ruch wielki panuje przedewszystkiem i oczywiście na... prawie, zaś przyczynę tego ciekawego zjawiska omówię w jednym z następnych listów.

Na uczelniach zalewają nas u progu roku plikami odezw i broszur. A to: „wstąp do Bratniaka" (koniecznie!), „czy należysz do Koła Wydziałowego" („musowo"!), „zapisz się do Związku Obrony Kresów Zachodnich" (trzeba!) i t. d., i t. p.

Chociażby z tych kilku rysów widzimy, że sytuacji na terenie akadem. nie można zbyć modnym dziś frazesem „nic nowego" (nichts neues). Właśnie, że przeciwnie — wiele nowego.

Oto jesteśmy w okresie powodzi inauguracyj. Na uniwersytetach każda organizacja urządza wspaniałą i wystawną inaugurację. Wspomnę tu o rzeczywiście świetnej inauguracji roku akadem. „Młodzieży Wszechpolskiej", która jest obecnie najsilniejszą organizacją akademicką społeczno-polityczną, skupia bowiem, aż 75 proc. młodzieży akadem. Młodzież Wszechpolska rządzi obecnie życiem akadem. i kieruje t. zw. polityką akadem. Organizacja ta hołduje atrakcyjnym hasłom narodowym i katolickim. Także Sodalicja Marjańska Akademików może się poszczycić b. udatną i piękną inauguracją.

Przechodzę z kolei do nowości wydawniczych. Ukazał się pierwszy, powakacyjny numer największego pisma akademickiego p. t. „Akademik Polski" (nr. 5, rok III). „Akademik Polski" (cena 30 groszy) wydawany w formacie gazetowym, na b. dobrym papierze, bogato ilustrowany przynosi szereg wiadomości bieżących z życia młodzieży akadem., między innemi nader ciekawe artykuły,

jak „XI Kongres C. I. E. w Budapeszcie“, a więc z międzynarodowego terenu akademickiego, bo C. I. E. to Confédération Internationale des Etudiants, czyli Międzynarodowy Związek Studencki, w którym Polacy mają najpoważniejsze ze wszystkich narodów stanowisko! Pozatem artykuły: „Kongres Korporacyj w Poznaniu“, „Czy jesteśmy demokratami?“ (pióra kol. J. Mosdorfa), oryginalna korespondencja autentyczna z Litwy p. t. „Polska Młodzież Akademicka na Litwie“, oraz doskonały, słynny dodatek literacki pod redakcją utalentowanego poety kol. Janusza Kaweckiego. Redaktorem „Akademika Polskiego“ jest znany i popularny działacz akademicki kol. Jan Mosdorf, obecny prezes Rady Naczelnej Młodzieży Wszechpolskiej.

Wielkiem powodzeniem cieszy się drugi nakład broszury kol. J. Mosdorfa p. t. „Akademik i polityka“ (cena 30 gr.), w której autor na 20 stronicach omawia organizację życia akadem. pod względem społecznym, politycznym i samopomocowym.

Jaskółki przedwyborcze... ki djabeł? Wybory? Tak!

Co dwa lata odbywają się we wszystkich środowiskach akadem. wybory na Zjazd Związku Narodowego Pol. Młodzieży Akadem., do którego należą wszyscy studenci Polacy.

Stałą, naczelną reprezentacją Związku jest Naczelny Komitet Akademicki. Otóż o opanowanie owego N. K. A. toczy się zawsze walka. Wybory odbędą się w grudniu b. r., a obecnie już akademickie organizacje społeczno-politycz. żywo się krzątają... Gwoli ścisłości dodam, że na ostatni V. Zjazd Związku, na 105 mandatów z całej Polski, Młodzież Wszechpolska uzyskała 71 mandatów.

Jakże się miło gwarzy o życiu akademickiem, ale niestety trzeba kończyć, a w następnych listach oprócz wiadomości bieżących podawał będę informacje o warunkach gospodarczych, samopomocowych, społecznych, politycznych, religijnych i t. p.

Kończę ten list, także inauguracyjny(!) starorzymską formułką — dziś akademickiem życzeniem pod adresem tegorocznej pracy „Świata Szkolnego“:

Quod bonum, felix, fautumque sit!

Stefan Niebudek
student prawa.

Warszawa, w październiku 1929.

WRAŻENIA Z OBOZU „BESKID“

Polskiej Y. M. C. A. w Mszanie Dolnej.

W mglisty, podeszczowy dzień lipca zdążała górską kamienistą drogą gromadka chłopców.

Szli milcząc w nieładzie, grupkami i w pojedynkę, poważni nierzadko zasępieni. Juści, że głównie przyczyniła się do tego szarość letniego dzionka, co słonka złotego poskąpiwszy, sączyła się do dusz smętkiem i nudą, aleć i inne nastroju tego były przyczyny. Tam śród lasów w górze ciemną zielonością igliwca kolorowych mieścił się cel ich drogi uciążliwej.

Biegli więc myślą naprzód i stawali u wrót nieznanego światka, w którym mieli nowy rozpocząć żywot; że wejść mieli w liczne, nieznajome środowisko i niepraktykowanym trybem potoczyć życia szmat, poważni byli i zamyśleni.

Wyrosła wreszcie nagle z za zakrętu drogi brama w inicjały organizacji zdobna, zielenią przybrana i chłonąć poczęła sformowany szyk. Po rozmieszczeniu w drewnianych, półkrytych chatkach i poznaniu współtowarzyszy najbliższych rozpełzli się nowoprzybyli, szperać, wglądać we wszystkie zakamarki i kąty rozległego obozowiska, badać i poznawać, boć wygami stać się jaknajrychlej trzeba, pośmiewiskiem nie być, świadomość tajników wszystkich posiąść. Pochylił się szybko dzień pierwszy w objęcia wieczoru. Gwizdek,

sygnał nocny, przeciągły wdarł się w gwar i wrzawę.

Rzucają zabawy, gry, ćwiczenia gromadnym biegiem dążąc na miejsce zbiórek obywatele przechodni trwałego państewka.

Formuje się długi dwuszereg. Jak fale ostatnie po burzy pienią się huczą nim ścichną i legną w spokoju, przelewają się nad szeregami rozmowy ostatnie, wyrwie się czasem głos jeszcze jeden, drugi, lecz szybko milknie. Komendant — gwizdałą, od godła swej władzy, przezywany, piorunuje wzrokiem i słowem gromadę rozhasaną, którą w karby ująć do życia obozowego wdrożyć musi. Cisza! doraźne kary obozowego pręgierza otoczonego wieńcem winowajców żdziałały swoje.

Jeszcze chwila i oto nad szeregi sprężone, skamieniałe wzbijają się dźwięki mazurka nutą żywą, junacką młodych, poważnych w owej chwili głosów.

Opuszcza się powoli z górującego nad obozem masztu, sztandar, wolno, majestatycznie spływa z wyżyn biało — czerwona wstęga wijąc się i falując.

Opadła — ścichły słowa hymnu i wraz odprężyła się młodość zdrowa, radosna powaga chwili minionej przybłożona. Śród wrzawy, pośpiesznie zajęto stoły rozległej jadalni. Każda chatka tworzy zwarty zespół, rodzinę, czy bodaj miniaturę społeczeństwa, codzień inny dyżurny stół nakrywa, potrawy podaje, uprząta i tak w koło, praca równa, wspólny trud.

Zapadł zmierzch, niby chmura ciemna, skłębiona stoczył się w dolinkę wzniesieniami łasem krytem otoczoną. Gdzie niegdzie błysnęła z chmurnego nieboskłonu niepewnym, trwożliwym blaskiem gwiazdka, walczyły w górze hen, cienie ogromne, przesuwały się cielska olbrzymie niekiedy jaśniejszy rąbek szafiru ukazując. A w dole w okolu drągami ławki naśladującemi otoczonym wybłysnął ż początku niezdecydowanym płomykiem, chwiejnym drgającym, potem śmielszym płomieniem stos. Gromadzić się poczęto, a płomień piął się coraz wyżej, opasywał ofiarę cowieczorną, wzmagał się, aż strzelił jedną żagwią ognistą iskrami siejącą. I wówczas przy suchym wtórze trzaskających gałęzi wzniósł się chóralny śpiew.

Żołnierskie tęskne i zuchowate, obozowe, weselem tryskające, czeskie od gości obozu orawskiego nauczone piosenki niosły się w ciszę lasów i gór murem czarnym obóz okalającym. Otaczała nas letnia noc całym urokiem tajemnic, wyczuwalną potęgą natury spływająca do dusz.

Z jakiemś nieznanem w murach miast uczuciem odśpiewaliśmy pieśń wieczorną i zmówili wspólną modlitwę. Poczucie istnienia jakiejś potęgi wszechdobra stało się nieprawdopodobnie silne, roztapialiśmy się w niem i zdało się, że bierze nas ono w swe władanie niepodziel nie tem nieogarnionem tchnieniem bezmiaru i uspokojenia. Pogasły wkrótce światła ostatnie, poczęło się pełne władztwo nocy. Jeszcze czas pewien, gwar przyciszonych rozmów mącił ciszę, a gdy i on umilkł zdało się, że wszelkie życie rozpłynęło się, zamarło w mrokach.

I wówczas zbudził się inny świat, świat baśni, legendy gór zamierzchłej. Ciągnęło korowody zjaw, postaci zasłyszanych, ożywiła się niemi głusza, a po chwili znów tylko zwarty, przepastny las szumiał tuż, zstępować zdawał się w dolinę, ogarniał, do snu kołysał.

Potoczyły się dnie podobne do się, a przecież choć czemś bardzo małem rozmaite.

Zrywała nas rankiem pobudka i niechno w minutkę potem komendant zajrzał do chatki a śpiocha zdybał, biada jemu i chatce całej. Sypały się karne punkty za ospałość, niedołęstwo, ociąganie, strzec się trzeba było na każdym kroku. Ranne ćwiczenia, mycie pod strugami wody prysznicöw i wnet zbiórka.

Ranny pacierz, pieśń poranna płyną w mgłę. Przy słowach przyrzeczenia uroczystego, wznosi się sztandar na całodzienny posterunek.

Po śniadaniu prace wokół chatki i wewnątrz, bo inspekcja ostra ździebełka papieru, pyłku kurzu nie zniesie. Potem prace obozowe dla wspólnego pożytku, kluby oświatowe, wypełniają czas przed

obiedni. Po obiedzie sporty i ćwiczenia i oto z dniem każdym rośnie poczucie zdrowia i siły, budzi się radość życia.

T. G. G. P. H. S.

Z WYCIECZKI W TATRY.

Wokół śnieżna pustynia... hula jeno po niej dziki, tatrzański wicher, zawodząc nieokiełzaną w swej dzikości górską pieśń. Kroczymy z trudem po stromej skalnej ścieżynie, pnąc się pracowicie ciągle i ciągle w górę. Z rozpaczliwą rezygnacją brniemy wśród ogromnych zasp śnieżnych, regularnie pogłębiając ślady poprzedników. Towarzyszy nam jeno ów skalny wicher, zamieniający od czasu do czasu bezmiary horyzontu w jedno rozszalałe, skotłowane, bezkresne odmętowisko śnieżne. A wokół piętrzą się hen! ku niebiosom samym urwiste, przeogromne turnie szczytów tatrzańskich. Nad nami siwe, zbałwanione morze mgieł zazdrośnie skrywające dumne czoła potężnych kolosów skalnych. Pod naszemi stopami białe, zdradzieckie, bezdnie. Czają się tam jakieś mroczne zapadliska, jakieś zamaskowane rozpadliny, jakieś tajemne wykroty...

W niewielkich przerwach wśród dzikich harców wichury, zalega wśród gór majestatyczna cisza. Potworne, skalne igliska szczytów strzelają ku niebu niby przeogromne kolumny gigantycznej świątyni. Zda się, że płoną na oszroniałych szczytach złote znicze, że wśród tej górskiej ciszy rozebrzmi ze chwilę jakiś potężny hymn, dziki jak te pranitowe zręby, majestatyczny jak ta górska cisza i cudny zarazem, jak ten cały skalny świat. Zda się, że opadną mleczne welony mgieł, że rozsrebrzą się zaśnieżone szczyty w złotym słońcu, że staną góry w całym swym pięknie, że roztęczą się gamą barw i blasków. Natenczas jakaś mocarna moc rodzi się w człowieku. Przecudna wizja pociąga go ku sobie. O z jakąż rozkoszą gotuje się wędrownik do wdzierania się na przepastne szczyty. Ciało się pręży, radosny skurcz przebiega mięśnie, wzrok płonie. Hej na szczyty! Tam swoboda! Tam można sobie rzucić pod nogi cały przyziemny świat! Na szczyty! Lecz darmo kołacze się dusza w człowieku. Darmo jasna myśl wybiega hen! pod niebiosa. Znużone mięśnie odmawiają posłuchu — obolałe nogi nie potrafią wynosić człowieka tam — w kraj marzeń jeno i snów. Przecudna wizja znika, rozwiewają się gdzieś z wichrem owe przecudne gry cieniów, roztapiają się kędyś we mgle, owe przepiękne wierzchołki, skąpane w złotych promieniach słońca. Z promiennego i cichego przeistaczają się góry ponownie w groźne i posępne piękno. A człowiek? On przeżywa straszliwą tragedję spętanego ptaka wśród jasnych lazurów nieba — nieszczęsny więzień własnego ciała. Dziwnie potężne wrażenie wywierają góry na zabłąkanego po raz pierwszy wśród nich śmiałka — przygniecionemu posępną modlitewną martwotą gór; dźwięczą słowa poety:

„O Tatry! Jakże drogą jest wasza martwota!
Ten chram kędy, kędy ofiarę niezmiernemu Bogu
Odprawia wiatr u skały lodowej ołtarza...'

To znów piekło górskiej, śnieżnej burzy, owe harde szczyty, spowite w turbany mlecznych mgieł napawając go lękiem, zniewalają do snucia poważnych refleksji, do wnikania w głębie ludzkiego bytu. Ileż piękna dają mu te surowe, skalne cielska, co jak junackie hufy zbrojnych rycerzy, nieulękle strzelają śnieżnemi szczyty ku niebu, groźne i tajemnicze, w każdej chwili gotowe zda się do gigantycznego boju o swój niezmącony, majestatyczny byt. Jakaś uśpiona moc przepotężna groza, drzemiąca wśród tych olbrzymów ściera na proch zarozumiałość ludzką, budząc jakąś nieuchwytną świadomość straszliwych kataklizmów. Zda się, że za chwilę rozmigoce się złotym zygzakiem grom, że te śpiące olbrzymy zbudzą się i zerwią do

walki, że zahuczy ziemia, zatrzęsie się w posadach, że zacznie się potworny bój, wśród wycia wichrów i huku gromów. Lecz nie — wśród cisza. Jeszcze nie pora na walkę, jeszcze drzemią olbrzymy. Idziemy z trudem, pracowicie wyciągajac nogę za nogą z pośród białych puchów śniegu. Mignęła przed nami pomarszczona tarcza jeziora. Jeszcze chwilka wysiłku, jeszcze kilka wytężonych skurczów mięśni a już jesteśmy u celu. Stoimy przed schroniskiem w kotlinie Pięciu Stawów.

Z. Czernicki. G.P.T.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

— Od Redakcji.

Obecny skład Komitetu Redakcyjnego ustalił się następująco: Kurator p. Dr. H. Płodowska, redaktor kol. Jerzy Bugajski (G.P.T.), sekretarz kol. Józef Kołodziejczyk (G.P.H.S.), skarbnik kol. Aleksander Wiklik (G.P.T.)

Pozatem do Komitetu Redakcyjnego weszli: Kol. Geldner (G.P.H.S.), kol. Białecki Ludomir („Handlówka"), kol. Ludziński (G.P.T.).

Równocześnie w myśl haseł pisemka, Redakcja postanowiła zaprosić na członków z prawem głosu doradczego wszystkie gimnazja częstochowskie.

Następny numer „Świata Szkolnego" wyjdzie prawdopodobnie w drugiej połowie listopada; prace też prosimy składać w odpowiedniej formie do dnia 10 listopada.

— Kiermasz w I Gimn. Państw im. H. S.

„Samopomoc" uczniowska I Gimn. Państw. H. Sienkiewicza, urządza w połowie listopada, wielki kiermasz dla młodzieży szkół średnich i wprowadzonych gości.

Na całość wesołej imprezy złożą się: koncert orkiestry, loterja, tańcé i wiele innych miłych niespodzianek.

— Koncert „Samopocy" II Gimn. Państw. R. T.

Dnia 9 listopada staraniem Samopomocy odbędzie się koncert znanej orkiestry symfonicznej pod batutą prof. Wopaleńskiego oraz solistów. Cel jako też i charakter imprezy zgromadzi z pewnością liczne zastępy młodzieży i starszych.

— Z Gimn. „Nauka i Praca".

Z inicjatywy Dyrekcji i przy poparciu uczenic odbędzie się w listopadzie obchód rocznicy Powstania. Obchód przedstawiał się będzie imponująco. Wygłoszone zostaną odczyty, deklamacje, a chór gimnazjum odśpiewa kilka aktualnych piosenek.

— Szkoła S. S. Zmartw. Pańsk.

W pierwszych dniach listopada staraniem Dyrekcji, kółko dramatyczne tejże szkoły odegra dramat o głębokim nastroju p. t. „Dla Chrystusa". Następnie odegrana zostanie komedyjka a wreszcie zespół baletowy uplastyczni szereg klasycznych tańców.

— Pożegnanie p. dyr. H. Adlera

W dniu 26 sierpnia, grono profesorów, młodzież II-go gimnazjum oraz licznie zgromadzeni rodzice żegnali b. Dyr. Gimnazjum R. Traugutta p. Adlera. Wśród uroczystego nastroju przemawiali: obecny p. Dyrektor Zbierski, p. profesor Gadomski, prezes Komitetu Rodzicielskiego p. Bystydziński oraz uczniowie. W gorących i serdecznych słowach wyrazili swoje względem p. Dyr. Adlera uczucia, zapewniając go o swym przywiązaniu i szacunku. Orkiestra gimnazjum odegrała szereg utworów, a rozentuzjazmowana młodzież wśród okrzyków „Niech żyje" żegnała ulubionego Dyrektora.

— Nowa drużyna harcerska.

Przy szkole Rzem. - Przem. powstała nowa 19-ta drużyna Zagłębiowska im. Zawiszy Czarnego pod kierownictwem druha Edwarda Nowowiejskiego b. drużynowego dawnej 19-ej dr-ny i łaskawą opieką p. prof. Stali.

Nowej tej ideowej placówce w jej szlachetnych dążeniach życzymy staropolskim „Szczęść Boże".

W tem jest sęk... a w sęku dziura.

(fragment).

Z przymkniętemi z snu oczami,
Skronie swe na rękach wsparłszy,
Obarczony kłopotami,
Siedział uczeń, snać już starszy.
Rozmyślając tak na poły,
Myśl maluje się ponura,
Czy dziś warto iść do szkoły?
To jest sęk, a w sęku... dziura...
Może pójść z kimś na „wagary"
Lenistwa zapałać chętką
A więc wziąwszy w płuca pary
Decydował się dość prędko.
Gdzież czekają go mozoły,
Skąd najlepszej zysk on wskóra,
Czy z „wagarów", czy ze szkoły,
To jest sęk, a w sęku... dziura...
Nad tem biedak kombinując,
Usnął w krześle sfrasowany,
I tak we śnie plany snując,
Układał trudów programy.
Gdy zegarek wskazał tkliwie,
Jaki czas godzina która,
Czy mam wstać, szepcze skwapliwie,
To jest sęk, a w sęku... dziura...
Przespał biedak pół dnia prawie,
Wspominając urok wiosny,
Zdając ducha na bezprawie,
Mijał czas dlań tak nieznośny.
Iść do szkoły nie ma chęci,
Bo gdy pójdzie — awantura,
W głowie się od myśli kręci,
To jest sęk, a w sęku... dziura...
I tak całe trzy okresy,
Na przeszkodzie wszystko stało,
Nie pomogły i moresy,
Gdy się mu uczyć nie chciało.
Lecz i nastał koniec lęku,
Szwanku nie poniosła skóra,
Koniec roku — już nie w sęku,
Lecz w promocji była... dziura...

„Pierot".

HUMOR.

Bilet „króla kolejowego".

Pisma amerykańskie opowiadają o następującym zajściu, którego bohaterem jest prezes zarządu i główny akcjonarjusz kolei „New York Central", William C. Vanderbilt, zwany w Ameryce „królem kolejowym".

Jadąc pewnego dnia tą swoją koleją z Nowego Jorku do Buffalo, „król kolejowy" zauważył, że kontrolujący bilety konduktor omija go z szacunkiem. Zirytowało go to, uważał bowiem, że konduktor nie spełnia swego obowiązku, zwrócił się więc do niego szorstko:

— Dlaczego pan nie sprawdza mojego biletu? Obowiązkiem pana jest sprawdzić wszystkie bilety, jeżeli pan nie chce być odpowiedzialny za straty, wynikające z niedbalstwa!

Konduktor wysłuchał pokornie nagany, poczem poprosił Vanderbilta o bilet. Król kolejowy sięgnął do kieszeni. Biletu tam nie było. Sięgnął do drugiej i trzeciej, ale z tym samym rezultatem.

— Proszę prędzej — rzekł wobec tego konduktor — bo nie mam czasu!

Napróżno jednak król kolejowy szukał po wszystkich kieszeniach, coraz bardziej zdenerwowany. — W końcu musiał przyznać, że zostawił widocznie w domu swój bilet wolnej jazdy.

— W takim razie — oświadczył konduktor suchym tonem urzędowym królowi kolejowemu, choć znał go dobrze z widzenia — jako pasażer bez biletu, musi pan zapłacić podwójną cenę przejazdu z Nowego Jorku do Buffalo!

Ujętemu we własną siatkę prezesowi zarządu kolei nie pozostało nic innego, jak zastosować się do tego żądania konduktora.

DROBIAZGI.

Olbrzymi okręt niemiecki Bremen pobiła rekord gdyż w 4½ dniach przepłynęła Atlantyk 6000 klm.

Jeden z lotników czeskich pobił rekord długości lotu bezsilnikowym samolotem przebywszy 145 klm.

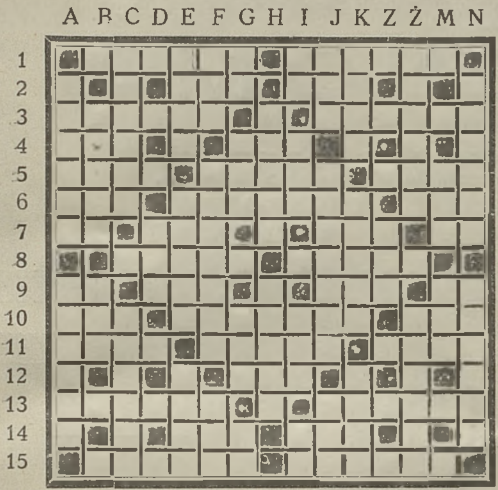
W zawodach samolotowych o puhar Shneldera osiągnięto szybkość 577,8 km. godz. co wynosi przeszło 160 metrów na sekundę.

DZIAŁ ROZRYWKOWY.

Za rozwiązanie wszystkich zadań Redakcja przeznacza książkę „Ścieżki młodości wielkich mężów". Za rozwiązanie krzyżówki „Martin Eden" Londona, za resztę zadań po 1 serji pocztówek kolorowych za każde.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie dwutygodniowym

Ułożył: **„Embra".** G. P. T.



Wyrazy poziome: 1A. Święto mahometańskie, 1I. Rodzaj wina, 2E. Okrzyk wojenny, 2I. Okres czasu, 3A. Piśmienne pokwitowanie odbioru pieniędzy, 3J. Przedmiot, jaki noszony przy sobie ma rzekomo bronić od nieszczęść i chorób, 4G. Restauracja, 5A. Dzień świąteczny w kalendarzu starorzymskim, 5F. Gatunek cukru trzcinowego, 5Z. Rodzaj pływającego pomostu dla przewożenia towarów, 6A. Czarny bursztyn, 6E. Część fortyfikacji, 6Ł. Imię żeńskie, 7A. Miara powierzchni, 7D. Niewolnik, 7J. Zbiór drzew (wspak), 7M. Przyimek (w języku obcym), 8C. Nazwisko polskiego artysty filmowego, 8I. Bóg starogermański, 9A. Jednostka miary oporu elektrycznego, 9D. Zaimek (w języku obcym), 9J Roślina, 9M. Rzeka w Azji, 10A. Jako przyrostek przed wyrazami odpowiada przyrostkowi zwierza, 10E. Miasto w Persji, 10Ł. Liczebnik, 11A. Choroba zakaźna, 11F. Obywatel jednego z państw azjatyckich, 11Z. To czego boją się ludzie fanatyczni (w liczbie pojedyńczej), 12G. Część ciała (wspak), 13A. Rodzaj resursy (wspak), 13J. Miejscowość kąpielowa we Francji (przetycznie), 14E. Skorupiak, 14J. Jeden z synów Noego, 15B. Sofa z oparciem i poręczami, 15I. Twarda, drzewiasta odmiana amjautu.

Wyrazy pionowe: A2. Jedna z muz, A9. Środek dezynfekcyjny, B5. Moneta duńska, B9. Obyczaj (w języku martwym), C1. Nazwa kościelna 4 tygodni przed Bożem Narodzeniem, C10. Dział fizyki, D7. Pierwiastek chemiczny, E1. Przyrząd z otworem w środku, E6. Ślimak (w języku obcym), E12. Drobna moneta w Turcji, F1. Sztuka (w języku martwym), F5. Teatrzyk przy restauracji, F13. Przylądek (w języku obcym), G1. Posiara inaczej, G4. Rodzaj głosu, G10. Reformator średniowieczny w Czechach, G14. Litera penetycznie, H3. Szczep murzynów w Afryce, H9. Cesarz rzymski, I1. Litera fenetycznie (wspak), I4. Siedziba Adama i Ewy, I10. Zwierzę przeżuwające, I14. Karta (wspak), J1. Gatunek papugi, J5. Zwierzę drapieżne podobne do borsuka, J13. Kwiat, K1. Zwierzę z rodziny wielbłądowatych, K6. Imię męskie, K12. Inaczej aureda, L7. Roślina z rodziny krzyżowych, Ł1. Średniowieczny statek wojenny, Ł10. Najwyższy bóg egipski, M5. Utwór poetycki, M9. Miasto w Findlandji (wspak), N2. Wódz kozacki, N9. Rzeka w Europie.

(ułożył Giet.)

Z niżej podanych biletów odczytać zawody ich właścicieli.

STANIS. MYZA.

ST. d'ATENY

N. GASAROTI

T. d. AMOLPY

(ułożyły Iz—Ir).

Z niżej podanych liczb ułożyć 7 dat najważniejszych wypadków w Polsce:
0011111111222566777788999 9.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Kol. E. Beloł. (G. P. T.) umieścimy w następnym numerze.

Kol. L. Błaszczyk (Sz. Rzem. Przem.) Treść ciekawa, jedynie szwankuje forma; prosimy o następne prace.

IZ—Ir. Rebusów nie zamieszczamy ze względów technicznych.

Kurator **Dr. H. Płodowska.** Redaktor odp. **Kol. J. Bugajski.**

Korespondencje i prace nadsyłać na ręce kol. **J. Bugajskiego,** Stradomska Nr. 4.

Druk. F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie